



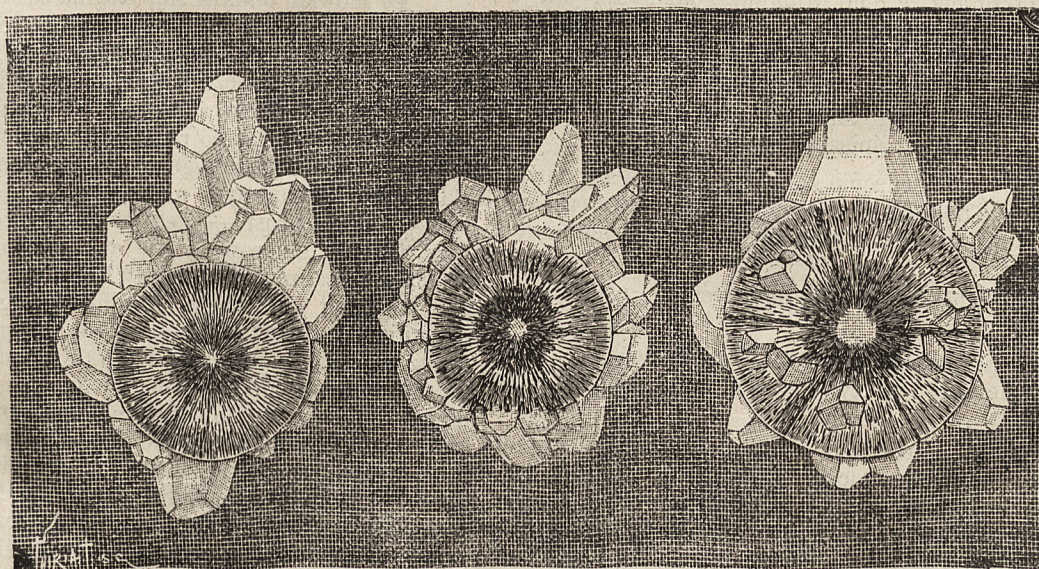
## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## KRYSZTAŁY GRADOWE.



Czas upałów, to czas, w którym niestety częste grady niszczą w jednej chwili rezultat całorocznych prac robotnika. Przed klęską tą nie go uchronić nie zdoła, to też śledzi z obawą w czasie burzy czerwono brunatne chmury, kryjące najczęściej w swem łonie odłamki lodu czyli gradowe kryształy. Czyniono już różne przypuszczenia co do warunków w jakich się grad w górnych sferach wytwarza, dotąd jeszcze jednak

pozostało to nierozwiązaną zagadką, gdyż gradowe odłamki lodu bywają tak różne co do swego kształtu, wielkości, a nawet formy kryształicznej, że uchylają się od wszelkich pewnych reguł i podobno nic zupełnie dotąd nie wiemy o przyczynach, które wywołują to zjawisko. Prawdopodobnie jest to tylko przypuszczenie, że grad tworzy się *gwałtownie*, wśród chmur burzliwych, idących często nawet poniżej linii śnieżnej.



Rycina powyższa przedstawia w wielkości naturalnej kryształki gradowe spadłe w r. 1867 w Tyflisie, a zasługują one na uwagę tak dla swych rozmiarów jak i pięknych a rzadko się pojawiających form krystalicznych, a zaś niezwykłej wielkości grad spadł także w Warszawie w r. 1887, zrządzivszy w samem mieście i jego okolicy nieobliczone straty.

## NAUCZYCIELKA.

Promień słoneczny, chłodny, bo to była zima, lecz jasny, złocisty, muskał jej główkę i ciemne włosy miały kolor kasztanu; krzątała się żwawo po skromnym pokoiku: to zbierała książki tu i owdzie porozrzucane i składając je w porządku na stoliku, co stał pod oknem, to przewracała w niektórych kartki zatrzymywała się nad jednemi i czytała cicho. Spuszczone powieki nie dozwalały widzieć jej oczu; lecz rumiana twarzyczka świadczyła o jej zdrowiu fizycznym, wąskie wargi o energii charakteru, wyniosłe czoło o zdolności umysłowej. Z wyrazem smutku na zwiedłych ustach przypatrywała się jej bieluchna, jak gołąbek babka, zagłębiona w safianowym fotelu, to głową znacząco wstrząsała, to wdychała czegoś cicho, a wzrok jej mgłą powleczonej wciąż chodził za nią.

— Inną młodość miała twoja matka — odezwała się naraz i głośniejszem westchnieniem, zakończyła to zdanie.

Młoda dziewczyna podniosła żywo wzrok od książki i czarne rozumne oczy zwróciła na babkę.

— Takim smutnym tonem mówi to babunia — rzekła z uśmiechem — jakby uważała mnie za bardzo nieszczęśliwą istotę, protestuję przeciw temu mniemaniu, mnie dobrze na świecie, niechaj babcią mi wierzy, że mówię szczerze.!. Gdy czasem rozmyślam o doli tych nieszczęśliwych ulubienic losu, które od rana do wieczora i od wieczora do rana nic nie robią, to im wcale nie zazdroszczę... Takie życie bez celu, bez obowiązku musi być nieznośne: budzę się rano i pytam siebie, co tu robić z tym dniem, z temi długimi godzinami, jak je zabić, czem zapełnić, by prędzej minęły. Doprawdy babuniu, jam od nich szczęśliwsza.

— Bo jeszcze nie wiesz, co to praca na chleb, co to przymusowy obowiązek: czyś słaba, czy skwar, czy mróz, wszystko to jedno, ty musisz śpieszyć na lekcye.

Jakgdyby na potwierdzenie słów staruszki w tej chwili za oknami skromnego pokoiku zawył wicher lutowy; wstrząsnął szybami, które aż zadzwoniły ze strachu i rzucił na nie białemi płatami śniegu.

Regina, takie było imię młodej nauczycielki, uśmiechnęła się.

— Alboż to nie zasługa walczyć z przeciwnościami, nie zadowolenie wewnętrzne ze zwycięstwa odniesionego nad niemi?

To mówiąc wróciła do książki, znowu coś w niej szperać poczęła, nakoniec znalazła widocznie to, czego szukała, bo zatopila się w czytaniu. Babka umilkła, przypatrywała się jej dalej w milczeniu, głową kiwała i wdychała. Regina zamknęła wreszcie książkę, sięgnęła po leżący na stoliku kapelusz, włożyła go na głowę, potem dobyła z kieszeni czarne rękawiczki i włożywszy je na ręce zbliżyła się do babki, klękła u nóg staruszki i trochę z uśmiechem pustego dziecka, trochę ze wzruszeniem rzekła, podnosząc jej rękę do ust:

Prababki twoje, babuniu, kładły krzyż na czoła synów, gdy ci poraz pierwszy szli walczyć z dzikimi o płaskich twarzach i krzywych oczach Tatarami, lub z Turkami, zaciętymi nieprzyjaciółmi Chrystusa, i ty nakreśl mi krzyż, babuniu, na czoło, bo będę walczyć z mrozem, wichrem, błotem, by światło wiedzy rozszerzać w ciemnych umysłach, by prawdę krzewić w serduszkach dzieci.

Babka pochylała się do niej i na białem jej czołe pocałunek złożyła, a potem drżącą ręką krzyż na niem nakreśliła.

— Niech cię Bóg błogosławi — rzekła głosem wzruszonym.

Regina ujęła powtórnie jej rękę i do ust przycisnęła, poczem wstała śpiesznie i ubrawszy się w ciepłe okrycie, podążyła na ulicę, żwawym krokiem z Marszałkowskiej skierowała się na Świętokrzyską, patrzyła wyzywająco na przesuwające się nad jej głową chmury, a chmury zagniewane białemi płatami sypały na nią, wicher je chwycił i rzucał niemi w twarz młodej nauczycielki, lecz ona nie zważała na nie, czasami tylko otrząsała je energicznym ruchem głowy z kapelusza i szła wciąż śpiesznym krokiem, nie zatrzymawszy się ani razu.

Z Świętokrzyskiej skierowała się na Włodzimierską, tutaj weszła do jednej z piękniejszych kamienic i zatrzymawszy się na sekundę przed listą lokatorów, zwróciła się następnie do sieni, znajdującą się po lewej stronie bramy.

— Sezan, otwórz się — szepnęła z uśmiechem do siebie, przyciskając elektryczny dzwonek. I Sezan usłuchał, rozwarły się drzwi, Regina wbiegła na pierwsze piętro, tutaj trzeba było powtórnie zadzwonić i znowu za przyciśnięciem tajemniczej sprężyny rozwarły się przed nią podwoje. Regina weszła do mieszkania pani hrabiny Suskiej i naraz uśmiech uleciał z jej twarzy, ogarnęła ją nieznana jej dotychczas nieśmiałość... Dziwne wrażenie wywarł na niej ten przedpokój, bo też nigdy jeszcze w takim nie była: panował w nim półcień. Weneckie okno, które mogło dosyć światła dawać, zasłonięte było wpół przezroczystą firanką, przez którą nie mogły się przedzierać swobodne promienie słońca, miękki kobierzec, zasłaniający posadzkę, głuszył ciche kroki lokaja, który na odgłos dzwonka przyszedł drzwi otworzyć, cisza uroczysta panowała tutaj.

— Czy pani jest w domu? — zapytała Regina.

Lokaj zmierzyl badawczo od stóp do głów młodą dziewczynę.

— Co za interes? — rzucił pytanie w miejsce odpowiedzi.

— Przyszedłam tu na wezwanie pani hrabiny, rozmówić się o lekcye — odparła Regina.

— Nie wiem, czy pani przyjmuje, pójdę się zapytać.

To mówiąc oddalił się, Regina została sama... Ta cisza tu panująca, ten półcień ją otaczający, dziwnie na nią działały, stawała się coraz bardziej nieśmiała; naraz z przyległego pokoju doleciał ją bezdźwięczny, krzykliwy głos: „Ktoś ty” usłyszała pytanie wyraźnie... Zmieszana, a więcej jeszcze zdumiona zwróciła spojrzenie ku drzwiom, z poza których ów głos dochodził, lecz nikogo w pokoju nie zobaczyła, natomiast w drzwiach przeciwnych ukazał się lokaj.

— Pani prosi — rzekł zniżonym głosem.

Regina skierowała się w tę stronę cicho bez szelestu i weszła do salonu. Wspaniały był to salon, cały zasłany miękkim jak puch kobiercem, strojny w bogate sprzęty, które go zapełniały. Coraz bardziej zmieszana przepychem, z którym poraz pierwszy w życiu się spotykała, śmiała zwykle dziewczyna szła lekko i niezgrabnie wymijała meble, pokryte drogiemi jedwabiami. W salonie także półcień panował: story przysłaniały niedyskretne promienie słońca, co próbowały wedrzeć się tu nieproszone. Pod jednym z okien siedziała kobieta lat średnich, w jednej ręce lornetkę trzymała, w drugiej książkę, w tej chwili jedną i drugą miała opuszczone ku ziemi, badawczym wzrokiem przypatrywała się zbliżającej ku niej nauczycielce.

Regina skłoniła się w milczeniu.

— Czy z panną Natolską mam przyjemność mówić? — odezwała się pierwsza pani domu.

— Tak jest — odparła młoda nauczycielka.

Pani S. wskazała jej uprzejmie taboret obok niej stojący.

— Pani udzielasz nauk przyrodniczych? — rzuciła znowu pytanie.

Skinieniem głowy odparła Regina, siadając na taborecie.



— Dawniej młode dziewczyny nie uczyły się tego — ciągnęła dalej hrabina — dziś inny zwyczaj, skłaniam jednak przed nim głowę, bo uznaję, że dzisiejsi pedagodzy mają słuszość, obznajmiając kobiety ze światem je otaczającym: pókiśmy młode, póty ludzie nas interesują i my ludzi, to nam wystarcza, ale gdy młodość odbiegnie, wówczas ludzie nas męczą, a my ludzi nudzimy, wówczas najlepszą dla nas towarzyszką, najstosowniejszą przyjaciółką natura, a gdy ta natura nam obca, to wśród niej nudno nam, smutno, tęskno, dla tego chcę, by córka moja obznajmiła się z naukami przyrodzonemi. Od której z nauk rozpocznieś pani? pewno od botaniki, dziewczęta lubią kwiaty, najłatwiej zapewne jest zachęcić pani uczennice do tej nauki.

— Zwykle zaczynam od mineralogii — odparła Regina — nie chciałabym zmienić mego systemu.

— Od mineralogii? — ze zdumieniem powtórzyła hrabina — ta najnniej kobiecie według mnie potrzebna, lecz spiera się z panią nie będę, wolną wolę w tej mierze jęj zostawię; księga przyrody, to księga obca dla mnie, ucz pani jak chcesz, byle Lila korzystała z lekcji. Przedstawię pani jęj uczennicę.

To mówiąc przechyliła się na poręcz fotelu i zwróciwszy się w stronę, gdzie widać było bogatą portyerę jedwabną, kryjącą zapewne drzwi, zawołała głosem miękkim, dźwięcznym:

— Lilo!

Portyera się rozchyliła i ukazała się w fałdach kosztownej firanki prawdziwa lilijka, smukłe białe, jasnowłose dziewczę, lat 13 liczące, w białej kaszmirowej sukni.

Ujrawszy obcą, Lila dygnęła, poczem lekko, tak iż zdawało się, że nie dotyka stopami puchowego kobierca, lecz unosi się nad nim, przesunęła się zrećnie wśród foteli, kozetek, stolików i stanęła wyprostowana przy matce.

Regina spojrzała uważnie na swą uczennicę. Smukła, biała, wiotka Lila inne wywarła teraz na nięj wrażenie: z błękitnych oczu dziewczynki figle patrzyły, na karminowych usteczkach błąkał się pusty uśmiech, ciekawie przypatrywała się przyszlęj nauczycielce.

— Oto pani uczennica -- odezwala się hrabina.

Lila dygnęła powtórnie, Regina wyciągnęła rękę do dziewczęcia, uściśnęły sobie lekko dłonie.

— Panna Natolska ma zamiar rozpocząć z tobą lekcye od mineralogii, nie od botaniki, jak się tego spodziewałaś — odezwala się znowu hrabina.

Pusty uśmiech uleciał z różanych usteczek Lili, wyraz niezadowolnienia je skrzywił.

— Od mineralogii — rzekła — a co to jest mineralogia? o czem pani będzie mnie uczyć na tej lekcji?

— O rozmaitych kamieniach, o minerałach, znajdujących się w łonie naszjęj ziemi, o bardzo ciekawych rzeczach.

— Więc i o brylantach? — z zajęciem zapytała Lila. Regina się uśmiechnęła.

— Naturalna rzecz.

— Mateczko, jabym chciała już dzisiaj mieć lekcya — prosić poczęła Lila.

— Zapytaj panny Natolskiej, czy się na to zgodzi — odparła hrabina.

— Dlaczegożby nie, mam wolną godzinę, mogę w tej porze zawsze tutaj na lekcye przychodzić.

— A zatem poprowadź Lilo pannę Natolską do buduaru — rzekła hrabina.

Lila skierowała się ku jedwabnej portyerze. Regina podażyła za nią. Szła teraz śmiałym, pewnym siebie krokiem, wspaniały salon nie istniał już dla nięj, dążyła na lekcye, widziała w swęj wyobraźni tylko stolik różnemi minerałami założony, tylko uczennicę słuchającą jęj wykładu.

Weszły obie do buduaru, jedwabna, ciężka opona zapadła za niemi, hrabina rozparła się w fotelu, złocistą lornetkę do oczu przyłożyła, podniosła książkę i zatopiła się w czytaniu. Cisza zaległa napowrót wspaniały salon, tylko chód wahał marmurowego zegara, nad którym biała Kalipso czuwała, słysząc było. Mijały minuty, sekundy, hrabina nie ruszała

się z fotelu, czasami głos papugi doleciał tutaj z przyległego pokoju, czasami zegar wydzwonił, mijając kwadranse i znowu cicho tu było. Nareszcie godzina upłynęła, jedwabna draperya rozchyliła się i w progu drzwi do salonu wiodących stanęły Lilia i Regina, obie były zarumienione, na obu twarzach malowało się zadowolenie.

— Mateczko! jestem zachwycona mineralogią! — wykrzyknęła Lila — i podbiegła do hrabiny z pocałunkiem.

Regina zbliżyła się tuż za nią.

— Kiedyż pani przyjdzie znów na lekcye? — spytała hrabina, uśmiechając się łaskawie do młodej nauczycielki.

— We czwartek — odparła Regina, czy będzie to dogodnem dla Lili?

— Jak najzupełniej.

Regina pożegnała panią S., poczem zwróciła się do Lili. Była z nięj zadowolona, z zajęciem słuchała jęj wykładu, umiała powtórzyć to, co jęj opowiedziała, miała nadzieję, iż pilną i pojętną będzie z nięj miała uczennicę, uściśnęła też maleńką rączkę, ku sobie wyciągniętą serdecznie, a potem pochyliła się do nięj, by ją pocałować, lecz Lila nie rozumiała jęj widocznie, gdyż uściśnawszy dłoń Reginy etykietałnie ukłoniła się jęj tylko i rzekła „do widzenia”. W tej samej chwili z przyległego pokoju doleciał znowu ten bezwzględny, nie akcentowany głos: „Ktoś ty”.

Regina dziwnie przykrego doznała wrażenia, zdawało się jęj, iż ktoś niewidzialny przypomina jęj różnicę położenia, które dzieli ją z mieszkańcami tego pysznego salonu, cofnęła się i ceremonialnym ukłonem pożegnała Lilę.

Lila widziała jęj zmieszanie, sądząc, że się przestraszyła, rozśmiała się wesoło.

— To papuga mówi — rzekła, ani domyślając się uczuć, jakie obudził w sercu Reginy ten krzykliwy ptak.

Nie zawiodła się młoda nauczycielka na swęj uczennicy. Lila pilną i pojętną była słuchaczką, z całą przyjemnością śpieszyła Regina dwa razy na tydzień na lekcye mineralogii, a Lila z utęsknieniem jęj przybycia wyglądała; obie bywały ożywione podczas lekcji, obie z żalem ją kończyły, mimo to stosunek między uczennicą a nauczycielką zawsze był etykietałny: ograniczał się na wykładzie lekcji i na chłodnem uściśnieniu wzajemnem sobie dłoni przy powitaniu i pożegnaniu, poza lekcya obcemi były sobie zupełnie, jedna o drugiej nic nie wiedziały.

\* \* \*

Minęło pół roku od dnia pierwszej bytności Reginy w mieszkaniu hrabiny Suskiej, śniegi dawno już stopniały, pola i łąki mały się świeżą zielonością, pąki na drzewach porozwijały się, wiosna kwitła w całej pełni, z okien wspaniałego salonu hrabiny widać było w ogrodzie, rozciągającym się u stóp kamienicy, białym kwieciami pokryte wiśnie, grusze i jabłonie, świegot ptasząt, co ślały sobie gniazda pod cieńmi liści, dolatywał do salonu, jasno i gwarno w nim było dzisiaj, bo wielkie okna o szybach lagrowych roztwarte były, a złociste gryfy, rozpierające się na koronkowych storach nie przestraszyły wiosennego słońca, wdarło się ono przemocą do mieszkania i rozjaśniło je, a ze słońcem wleciał tu wietrzyk wiosenny, a z wietrzykiem woń kwiatów jabłoni, grusz i śliw; jasno, wesoło i pięknie było w salonie pani Suskiej, więc czemu jęj jedynaczka zaszępiona?... Na białem czole dziewczęcia jakaś chmura zawisła, karminowe usteczka ma gniewem zacisnięte, w oczach smutek, siedzi rozparta niedbale na jednym z miękkich foteli i bawi się jedwabnym chwastem, strojącym go; naprzeciw nięj hrabina wyszywa pilnie na krosienkach ornat do kościoła białymi perlami, obie milczą, tylko marmurowy zegar coś gada, coś szepcze, tylko wrzaskliwa papuga odzywa się czasami z drugiego pokoju: „Ktoś ty”. Nareszcie Lila wyprostowała się, westchnęła ciężko i spojrzała na zegar.

— Już wpół do dwunastęj — odezwala się głośno — nie przyjdzie z pewnością, mniejsza o to, takie nudne te lekcye, iż z ochotą rzuciłabym je całkiem.

(d. n.)



## W POLU.

Ej! swoboda to i rozkosz w polu!  
Siedzi oto brat z siostrą i gwarzą:  
— Czy w pszenicze nie będzie kąkolu?  
Czy kartofle na półku się zdarzą?  
Och! bo na tem zależy im wiele!  
Chłopak buty dostanie jesienią,  
A dziewczyna koszulę zaścielę  
Paciorkami, co w tęczę się mienia,  
Jeśli Pan Bóg dostatek da chleba,  
Jeśli ojcom wróci się krwawica...  
Ponad niemi bezchmurny strop nieba,  
W koło kwiaty: krasne wznoszą lica  
Polne maki, żrenicą błękitną  
Z pośród kłosów błyska chaber cichy,  
Tuż nad ziemią wonnym śniegiem kwitną  
Wątle, blade powoju kielichy.  
Kędyś w dali piosnki dźwięki płyną  
Niby skoczne, niby się skarżące,  
A nad kłosów szumiącą równiną  
Nieruchomo złote pała słońce...

T. P.

## WIEK POETÓW.



wieku XVI-m i od połowy XVII-go nie tylko wśród rodziny Kochanowskich kwitnął talent poetycki i czterech jednego nazwiska zasłużyło się na polu literatury \*). I więcej rodzin może się tem poszczycić, a chociaż nie doszli tak wielkiej jak Jan Kochanowski sławy, wzorując się na nim, pozostawili niemało prac po sobie.

Było więc dwóch Zbylitowskich, Andrzej i Piotr, niewiadomo, bracia czy tylko krewniacy, obadwaj jednak rymy składali. O Andrzeju wiemy, że był dworzaninem królewskim, jeździł do Szwecyi i podróż tę wierszem opisał. Ze zaś wzorował się na poetach greckich i łacińskich często bóstwa przez nich wspominane wprowadza, każąc im po naszych przechać się polach i na naszych mieszkających górach, co czasami dosyć jest śmieszne a nawet niezrozumiałe.

Nie gniewajmy się jednak za to na niego, bo wtedy taki był zwyczaj, że w jakimkolwiek kto języku pisał, zawsze bóstwa greckie przyzywał. Zbylitowski jednak umiał powoływać się i na swojską przeszłość, bo w tejże samą podróż do Szwecyi, gdy zaraz na Wiśle spotkała ich burza, w ten sposób przemawia:

„Wando, śliczna bogini wiślniej bystrzej wody,  
Coś swój wiek wiecznym bogom poświęciła młody,  
Któraś niegdy rządziła to królestwo dawne,  
W którym cnoty twe i dziś wspominają sławne,  
Ucisz Wisłę, ucisz wiatr, daj szczęśliwą drogę,  
Ty sprawuj nasze łodzie, a odpędź tę trwogę.”

Wkrótce jednak sprzykrzyło się pocięcie życie dworskie, osiadł w wsi w górach nad Sanem, a innym odradzał czepiać się dworów możnych, zachęcając, ażeby z młodu *postanowili*

szy t. j. ożeniwszy się, pilnowali zagona, sposobili się do gospodarstwa i przez to kąt sobie na stare lata przysposobiali.

Na owe czasy, kiedy ziemi było dużo, a ludności niezbyt wiele, doskonała to była rada, bo każdemu było wśród własnego zagona najłatwiej; a chociaż trzeba się nie tylko roli lecz i innej pracy chwycić, aby mieć uczciwy kawałek chleba, z przyjemnością jednak ze Zbylitowskim powtarzamy.

„Ja mam swoje uczciwe zabawy przystojne,  
Ja wolną myśl od troski i życie spokojne.  
Zasiadłszy z przyjaciелеm w pachnącym ogrodzie,  
W chłodniku (altanie) przeplatany, przy strumienną wodzie.”

Daliej zaś tak zachwala przyjemności wiejskiego życia:

„Ano bydlę do domu bieży wielkim skokiem,  
Czując, że noc już bliska, bo wieczorna zorza  
Znienagła postępuje z głębokiego morza;  
Pasterze za nim idą, po lekku śpiwając,  
A w wierzbówą piszczałkę pięknie przygrywając.  
I młode pasteczki w płótnie białe tkanem,  
Każda coś z lasa niesie w wieńcu przewijanym.  
Ta orzechy, ta rydze, ta słodkie maliny,  
Ta dojrzałe poziomki, ta czarne jeżyny,  
Ta w koszyku plecionym wieńiec karczidłowy,  
Owa wiązań, bukwiec, ta kwiat kalinowy.”

O Piotrze Zbylitowskim współcześni jemu pisarze wyrażają się, iż był to mąż niepośledniej nauki a prędkiej rady. Pozostawił: „Rozmowę z cudzoziemcem”, w której przygania, iż zanadto za jego czasów myślano o strojach i dobrem jadł; w całym zaś utworze dowcip i dobry humor tryska z każdego wiersza. Dostało się też od niego i niewiastom, które zaczęły się z cudzoziemską ubierać. Raz został zaproszony do sąsiada na obiad, spotkał cały zastęp kobiet ustrojonych, powiada, iż zupełnie nie wiedział w jakim kraju się znajduje, tak były wszystkie cudacznie ubrane.

A więc pyta:

„Cóż się to ze mną dzieje, gdzie jest zaniesiony?  
Do Francyi, czy do Włoch, gdzie li w inne strony?  
Witam, sam nie wiem kogo, nie wiem kogo raczę!..  
Oto ta siedzi, wędzę, z weneckiej dziedziny,  
A ta zasię, w tej szacie z hiszpańskiej krainy,  
To podobno Francuzka, ta zaś niderlandzki  
Ubiór na sobie nosi, czyli to florencki.”

Jednocześnie ze Zbylitowskim żyło dwóch braci Zimorowiczów, urodzonych we Lwowie.

Starszy z nich Józef Bartłomiej pozostawił bardzo piękne: „Sielanki ruskie”, młodszy Szymon wielkie rukował nadzieje, lecz umarł bardzo młodo. Jest on poetą lirycznym tak jak Szymon Szymonowicz Bendoński, z którego brał wzór a którego wielce miłował i cenil.

Utwory Szymona Zimorowicza odznaczają się wielką prostotą a zarazem pięknnością porównań, jak to w hymnie do słońca widzimy:

„Niebieskie oko, klejnocie jedyny,  
Lampo gorąca niebieskiej krainy!  
Ojcie gwiazd jasnych! ty skoro świt mglisty  
Natychmiast z łoża ramiona perłowe  
Podniósłszy, oczy szczerze szafirowe,  
Na świat obracasz, a potem wraz z góry  
Poczniesz rozpuszczać zarzyste kędziory.”

Dużo jeszcze pięknych rzeczy moglibyśmy podać naszym czytelnikom, na tem się jednak ograniczamy, dodając, że słusznie położyliśmy tytuł: „Wiek poetów” bo wszyscy owocześni autorowie rozpoczynali swoje utwory wstępem wierszowanym i kończyli je zwykle rymami. A chociaż w wierszach nie zawsze jest poezya, tutaj jednak utwory te poezyą nazwać

\*) Patrz N-r. 28 „Było ich czterech”.







możemy, bo każdy z piszących pragnął prowadzić społeczeństwo do piękna i cnoty, a rozpoczynając swój utwór wierszem, składał go na cześć Najwyższego, prosząc aby mu oświecił umysł i doprowadził do zamierzonego celu.

Z. Morawska.

## NASI GOŚCIE.

Mimowoli nieraz zadajemy sobie pytanie, dla czego, chociaż ród ptasi z natury swój jest płochliwy, niektóre jednak ptaki szukać się zdają sąsiedztwa człowieka i obok jego mieszkania zakładają gniazda swoje? Czynią to zaś nie tylko na wsi, gdzie panuje względny spokój, ale nawet w mieście, w wielkim mieście, pełnem wrzawy, hałasu, turkotu, światła gazu i dymów, które się nad dachami unoszą. Dla czegoż skrzydlaci goście nawiedzają nas aż tutaj mimo nieprzychylnych na pozór warunków, jakie im życie wielkomiejskie przedstawia? Badacze przyrody nieraz już zajmowali się tą ciekawą kwestyą, na którą to chyba najwłaściwszą będzie odpowiedź, że ptaki uważają człowieka za obrońcę przed grożącymi im niebezpieczeństwami, a jego zabudowania i ogrody za dogodną dla siebie siedzibę, której w miejscach niezamieszkałych znaleźć nie mogą. Kto wie? w tych ptasich sejmach, które każdy prawie na własne oczy widział, taka może zapadła uchwała? Dowodziłaby ona zaufania ptasząt do człowieka, zaufania, którego zdradzać się nie godzi, ale owszem podtrzymywać je i wzmacniać, gościnnie podejmując ten drobiazg, co się do nas garnie z własnej woli.

Najwięcej pośród niego wróbl. Śmiałe, żarłoczne, namiętne prawie, a ruchliwe, swawolne i swięgotliwe, podobne są one do tych ubogich dzieci, co się hałaśliwie bawią po naszych podwórzach, albo na chodnikach mniej uczęszczanych ulic. Drobiazgowi temu ludzkiemu zacni ludzie otwierają ochronki, w których znajduje tyle mu potrzebną *ochronę* od czyhających nań pokus do złego — ale i skrzydlatym małeństwom coś się od nas należy. Trochę okruszków, trochę niedojedzonej kaszy lub kartofli, to bał prawdziwy dla wróblego narodu, który zwiedziawszy się o miejscu, gdzie pewny posiłek znaleźć można, natarczywie się o niego upomina, pukając nieraz dziobkami w szyby, co bardzo zabawnie wygląda. Obok wróbli żyją także i gnieźdzą się w środku miasta grzeźółki, jaskółki, kawki, nawet kobuzy. Wszystkie te gatunki potrafią się obejść bez ogrodów i obsadzonych drzewami skwerów; wystarczają im mury i dachy domostw naszych.

A gołębie? kto z nas nie widział jak stadami całemi obsiadają place, unoszą się tuż nad brukiem ulic, lub w powietrzu wyprawiają harce dowodzące nieporównanej wprawy gimnastycznej? Niektóre z nich mają właścicieli i gołębniki, do których po skończonej zabawie wracają; inne znowu, bezpańskie i bezdome, gnieźdzą się w murach śpichrzów, dworców, pod dachami dzwonnicy i wież kościelnych, żyją tam, co sobie znajdują na ulicy, a często padają ofiarą tych rozbójników, o których w pierzastym rodzie nie trudno.

Należą do nich szulaki, kanie, jastrzębie, które to ostatnie, jakkolwiek przez człowieka prześladowane i na wsi przed nim uciekające, w mieście jednak czują się bezpieczniejszemi i bezkarnie chwytają bezbronne gołębie. Wygląda to zupełnie tak, jakby sobie wyrozumowały jastrzębie, że w mieście broić mogą swobodnie, bo człowiek nie ma czasu polować na nie! Często też zdarza się widzieć, że jastrząb najspokojniej w świetle pożera sobie gołębia, siedząc na wierzchołku jakiej wieży lub fabrycznego komina, choć tuż pod nim uwijają się ludzie i turkoczą powozy.

Ogrody miejskie mają także swoich mieszkańców, tem mniej licznych, im w większym ścisku domów położony jest ogród. Rzecz to bardzo naturalna: ptaki bowiem żywiące się owadami, nie znajdują tu dla siebie dostatecznego pożywienia dla tego, że atmosfera miasta, przejęta wyziewami dymów i swędów, nie sprzyja rozmnażaniu owadów. Żyją więc głó-

wnie po ogródkach w środku miasta położonych. szpaki, którym nadzwyczaj szybki lot pozwala przynosić młodym pożywienie z bardzo wielkiej nieraz odległości i sikory razem z wróblami żyjące pokarmem, ręką ludzką rzuconym.

Wydziera im go nieraz niezgrabna złośliwa wrona, która gnieździ się na pierwszym lepszym wysokim drzewie, choćby nawet w samym środku miasta, czasem na dachu wysokich kilkopiętrowych kamienic i z tamąd spada w podwórka chwile łapiąc wszystko, co znajdzie. Sami raz widzieliśmy jak schwytawszy skórę od serdelka, usiadła na krawędzi niziutkiego dachu i zbójcejskim spojrzeniem trzymała na wodzy wróble, które widocznie miały ochotę odebrać jej ten przysmak i z właściwem sobie zuchwalstwem przyskakiwały do niej nadaremnie.

Bociany osiadają najczęściej na przedmieściach, na tym ich krańcu, który do pól lub łąk przytyka; ale zato po ogrodach i parkach spotkać można kosa, który dawniej był płochliwym ptakiem leśnym, a teraz gdy coraz mniej lasów, poszedłszy po rozum do głowy, uznał za właściwe zmienić obyczaje i został ptakiem ogrodowym. Grzywacze czyli dzikie gołębie zrobiły także to samo; w Paryżu latają sobie po ogrodzie w Tuileries a w Berlinie gnieździła się jakaś para na jednym z olbrzymich drzew otaczających plac pod lipami.

W berlińskim zwierzyńcu pojawiły się od lat kilku dzikie kaczki, które gnieźdzą się wśród zarośli tamtejszych stawów, wyławiając chleb i bułkę, które im rzucają zwiedzający: zrozumiały widocznie że mogą pogodzić bezpieczeństwo z wygodą i odpowiednio się urządziły. Za ich przykładem poszły mewy, które z nad Bałtyku przelatując nad Sprowę, szukają tu żeru obficie im dostarczanego przez przechodniów.

Wszystkie tym podobne objawy zmian zaprowadzonych przez ptaki w dotychczasowym trybie życia, dowodzą spostrzegawczości i namysłu. Zamiast bezwiednie ulegać instynktowi, ptak zdaje się rozumowaniem dochodzić do pojęcia, że człowiek nie tylko nie będzie mu wrogiem, ale jeszcze przyjdzie mu z pomocą; szuka więc siedzib ludzkich i zbliża się do nich bez obawy, a pochlebne to zaufanie najlepszym jest dowodem, że węzłami braterstwa połączył Bóg przyrodę całą. W nieprzerwanym łańcuchu tworów człowiekowi naczelną przypada miejsce, lecz wraz z *prawami* starszeństwa ma on także starszeństwa *obowiązki*, do których niezaprzeczenie należy troskliwa opieka nad wszystkim, co „nie sieje, ani orze”.

T. P.

## W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

— Mahora!... szeptał z drugiej strony leżący koło Mahory Rahib — czy uważałeś jak to zgrabnie zrobił Wilko tę *rzecz* z kociętami tej obrzydłej kocicy?

— To jeszcze nic że zgrabnie zrobił, ale czy widziałeś jak się okropnie zawstydział i aż odwrócił, spostrzegłszy, że patrzymy na niego?

— O!... brzydko!... cóżby to miało znaczyć?

— Coś bardzo brzydkiego podobno...

— Ależ w takim razie to strach!... okropność!...

— E!... przecież Wilko jest teraz chrześcijaninem, cóż znowu!

— Bo powiadają ludzie że *taki*, nigdy z serca się nie nawróci i wśród zwykłych ludzi nie przyswoi... będzie z niego zawsze niby to panterzątko wzięte z gniazda i chowane troskliwie wśród domowych zwierząt, a gotowe zdusić co mu się niebądź żywego nawinie, byle sposobność była po temu... Uh!... u!... aż się człowiekowi dusza wstrząsa na takiego kolegę... I pomyśleć, że oto blisko pięć lat żyjemy z nim w blizkich stosunkach w służbie i nikt się niczego nie domyśla!...

— Mój drogi Rahib... przyznam ci się szczerze że



i mnie dusza zadrżała w owej chwili, gdy owo nagle zapłonienie się Wilka, naprowadziło mię na ten okropny domysł... ale teraz... myślę że chrześcijanami jesteśmy przedewszystkiem, a z nawrócenia największych grzeszników, najwięcej się też niebo raduje, zatem i my czyliż zamiast obawy i wstrętu lub wzgardy, nie powinniśmy okazywać mu raczej serdeczną uciechę i przyjaźń, aby go na dobrą drogę utrzymać i utwierdzić?...

— Hm... no, tak to niby należy... ale ludzie mówią się że to na nic...

— O czym wy tak tajemniczo rozmawiacie? Co to znaczy co mówicie o Wilku? Cóż to on zrobił tak okropnego?... — zapytał Robert dosłyszawszy piąte przez dziesiąte, tłumioną dwóch Indyan rozmowę:

— Oh, panie Robercie, to bo znów... hm... trudno panu będzie opowiedzieć...

— Co?... trudno ci będzie mnie tę tajemnicę opowiedzieć? Ciekawym dla czego? Cóż to! czy dziecko jestem, któremu nie opowiada się tego i owego a aby nie płakało po nocy gdy mu się strachy przysnią? Mów zaraz!

— Ale nie o to idzie... Pamięta pan jak się to pan okropnie na mnie rozgniewał, gdyś coś na Anglię powiedział i nie chciał pan tego przyznać mówiąc, że żaden uczciwy ptak na własne gniazdo nie nastaje tylko je owszem broni?... Aha!... a ja teraz miałbym niby mówić coś, co wcale zaszczytu naszym Indyanom nie przynosi, hm?...

— Wcale co innego, mój kochany! Tu u was jest wiele złego, a raczej wszystko złe ma źródło swe w fałszywych religijnych pojęciach! Nie wy winni, tylko nierozum ludzki, który się uplatwał w fałszach i obłąkał!

— A to pan Robert mądrze powiedział! I zresztą, naprawdę brzydka ta rzecz nie tu u nas wylęgała się nawet, podobno tylko w Jawie... pan Robert wie co to Jawa?

— Słyszałem!... — ironicznie i wyniośle odpowiedział młody Anglik, który mając wszystkie najlepsze naukowe podręczniki, starannie sprowadzane z Europy, pracował gorliwie wraz z braćmi i z Mac'Ulami nad przyswojeniem sobie wszelkich zdobyczy naukowych, jakie powinny być w dzisiejszych czasach własnością ogółu wykształconych ludzi.

— Otóż — zaczął mu szeptać do samego ucha Mahora — otóż na Jawie od niepiamiętych czasów istnieje tajemnicza potworna, okropna, straszna, niby banda, niby sekta rozbójników morderców, znana ogólnie pod nazwą „dusicieli”...

— A!... a!... o!... słyszałem coś o tych zbrodniarzach...

— Aha... otóż z Jawy rozlażą się te potwory po sąsiedztwie i tu u nas także istnieją w tajemnicy... a po niezmierznej wprawie z jaką Wilko załatwił się z niemowlętami pantery, i po zawstyżeniu jego gdy spostrzegł że jest obserwowany, domyślamy się ja i Rahib, że i Wilko...

— Cóż znów!... Wilko! taki poczciwy człowiek! Nie uwierzę temu! — gorąco i głośniejsz niż należało — zawołał Robert w uniesieniu.

— Cyt!... ciszej panie Robercie!... jeżeli sami nie śpiemy to nie potrzebujemy jeszcze budzić zmęczonych naszych towarzyszy... no i Wilko także słyszeć tego co mówimy nie potrzebuje...! Zresztą, wszak ja sam przed chwilą powiedziałem że Wilko czembadź był, to zostawszy chrześcijaninem nabył prawa do naszej bratniej miłości... A przecież mógł nie on sam, tylko jego rodzice lub dziady do tych strasznych sekciarzy należeć, a on, jeżeli losu zrządzeniem dostawszy się wśród chrześcijan szczerze się nawrócił, to nawet jest w bardzo przykrem położeniu...

— W przykrem położeniu?...

— Hm... no tak... bo podobno ci zbójcy nigdy nie przebaczący swoim odstępcom, gdziebądź, choćby na koniec świata taki człowiek uciekł, oni póty śledzą tajemniczymi swymi sposobami, aż go wynajdą, odkryją, choćby się pod ziemię schował i śmiercią w okrutnych męczarniach ukarzą...

— Brrr!... biedny Wilko, będę go jeszcze bardziej kochał, jeżeli to wszystko prawda — mruknął Robert.

— Tak, ale znów ludzie powiadają, że taki nigdy się prawdziwie nie nawróci, choćby i w dziesiątem pokoleniu, pantera panterą, wąż wężem i taki tén, czém jego naddziady byli, pozostanie i ową dyabelską złość w odejmowaniu życia stworzeniom boskim w pewien właściwy sposób, zachowa, niby talent wrodzony, całemu pokoleniu.

— Ależ to są wszystko tylko niepewne gawędy ludzkie?

— Tak jest, panie Robercie, to są plotki, bo sekta owa jest tak tajemnicza, tak się ukrywa przed wszelkim okiem ludzkim i żywym, zasłuwyszy na wszelkich stworzeń nienawiść... że niepodobna jest nawet wiedzieć o niej cośkolwiek pewnego.

— A więc proszę mi więcej takich rzeczy na pocziwego Wilka nie wygadywać!... bo się to wam z pewnością tylko przywidziało!

— I owszem, dobrze mówi pan Robert i mądrze jak zawsze, i wcale niepotrzebnie gawędzimy o takiej rzeczy i to jeszcze w nocy gdy pan Robert ranny i zgorączkowany, powinienby spać spokojnie. Spać więc proszę! A ja pójdę zlużować pana Jerzego i Ralfa, bo jakoś spać nie mogę, a już od początku leżąc, gdy oni ciągle stoją na straży...

— To i ja pójdę, bo także spać nie mogę!... ty zlużujesz Ralfa, a ja Jerzego!

— Ależ panie Robercie, ranny jesteś!... — próżne były uwagi i prośby Mahory, Robert uparł się. Wilko spał już jak zabity i wszyscy spali, gdy Mahora i Robert stanęli na dwóch przeciwnych krańcach małego zaimprovizowanego obozu, zajmując stanowiska Jerzego i Ralfa, którzy też natychmiast pokładli się na swoich matach zasnęli zmęczeni. Głucha cisza ogarnęła miejscowość niezamieszkałą chwilowo przez dzikie hałaśliwe zwierzęta, wypłoszone macierzyńską troskliwością pantery.

Robert wsparty o drzewo i przytulony doń umyślnie, aby mniej być widocznym, bacznie okiem śledząc bezustannie okolicę, strażował pilnie już od dłuższego czasu, pewien był, że nic nie poruszyło się w pobliżu, jak tylko okiem i uchem mógł zasięgnąć, a jedno i drugie miało bystre i baczne. To też zdziwił się, osłupiał ze zdziwienia prawie, uczuwszy że coś lekko ale wyraźnie pociąga go za nogę, spojrzał ku własnym stopom i zdziwił się jeszcze bardziej, widząc rozciągniętego u nich Wilka... Nie będzie to żadnem ubliżeniem dla młodego Anglika, jeżeli sumienność zmusi nas do wyznania, że na ten widok, pod wpływem niedawnej o dusicielach gawędy, włosy powstały mu dębem na głowie: zaledwo nie krzyknął w głos z przestachu, bo jeżeli pomimo pilnego strażowania, Wilko mógł przypelznąć aż do jego stóp, to mógł tem łatwiej gospodarować wśród śpiących, i Robertowi w mgnieniu oka przeleciało przez myśl, że wszyscy byli już poduszeni... A w tejże chwili uczuł że Indyanin całuje mu stopy, mówiąc cichym i drżącym jak szelest listka głosem:

— Niechaj Bóg chrześcijan, Bóg twój i mój, błogosławi cię panie Robercie za to, żeś powiedział „biedny Wilko, będę go teraz jeszcze bardziej kochał”... naumyślnie przypelzłem tak... byś widział, że jeźlibym chciał dusić tobym mógł... ale to nie zawsze prawda co mówią: pantera przyswojona pozostanie panterą, lecz potomek dusicieli, z czasem, niekiedy, wśród uczciwych ludzi, może się w uczciwego człowieka przemienić. — I z temi słowy znikł Indyanin, rozplaszczając się niejako na ziemi i poruszając tak nieznacznie, że Robert ze zdumienia w zdumienie wpadając, chociaż nań patrzył, nie był przecież pewnym kiedy i gdzie tajemnicza istota znikła mu z oczu. Z mocno bijącym sercem postąpił ku śpiącym, drżącą ręką zbudził Franka, powołując go niby do strażowania z kolei, a wistocie aby przekonać się czy żyje... Gdy Franek wstał natychmiast, a senne spokojne oddechy innych przekonały strwożonego chłopca że wszyscy żyją, dopiero cały drżący jak w febrze, pod wpływem minionego przerażenia, położył się na swój macie i opowiedział kładącemu się także Mahorze, co się wydarzyło.

— A co?... — szepnął z lekkim dreszczem tenże — a więc dobrześmy się domyślali i nie wszystko co ludzie mówią jest próżną gawędą... chociaż w niejednym się mylą podobno.



— Bo ja teraz tembardziej wierzę że i zbójca odmienić się może... Uspokój się panie Robercie, możemy być zupełnie co do Wilka spokojni, gdyż prawdę ci powiedział, że gdyby chciał wszystkich wyduścić, mógłby być już to uczynić, a że nie byłby tego zaniedbał gdyby sam był tem, czem jak widać byli jego przodkowie, to jest rzecz pewna. Ręczę za to!

Po niejakięj chwili znużenie zwyciężyło niepokój i dwaj przyjaciele zasnęli.

## IV.

Błyszczący potężny acz leniwy Ganges w blaskach płomien-  
nego podrównikowego słońca, jak dyamentowa przepaska ko-  
ronująca czoło Indyi; iskrzy się milionami błysków Benares na  
lewym brzegu Gangesu, święte miasto Brahmy zwane niegdyś  
*Kasi* lub *Varnasi* co znaczy: Światne. Światne istotnie, zwa-  
szcza zdaleka jak zwykle ziemskie świetności, świetne 333 me-  
czetami, tysiącem pagód, kilkudziesięciu tysiącami domów-pa-  
łaców w swoim rodzaju, z krociami mieszkańców i krociami  
pielgrzymów nawiedzających bezustannie święte miejsca. Tu  
nauka i świętość do jednego sprowadzone mianownika, błę-  
szczą promieniami mądrości, tu jest sławna wyższa szkoła  
indyjska, mieszcząca blisko sześć tysięcy mędrców, tu staroży-  
tne obserwatorium astronomiczne, tu targowisko drogich ka-  
mieni, brylantów zwłaszcza; ztąd rozchodzą się na całe Indye  
tajemniczymi drogami tu przybywszy, owe szczególnych wła-  
sności i dziwnych przymiotów i nieocenionej wartości dya-  
menty, które niewytłómaczoną dotąd odgrywają rolę w historii  
i religii tamecznej brahmińskiej. Mnóstwo panujących książ-  
ątek złożonych z tronu mieszka w Świątym tem mieście.

Pod słońcem promienistym, miasto Benares ma z pewnej  
odległości pozory tak świetne, że odpowiadają zupełnie tej jego  
historyczno-religijno-rzeczywistej wartości. Wspaniałe jest  
na podziw, wewnątrz dopiero odmienne sprawia wrażenie, ulice  
kręte, wąskie, ciemne, zaduch i brudny tłum, nie są przyjemne.

Takimi to ulicami dążył w ogniste południe bramin „syn  
Brahmy” albo „boski” tak zowią się w indyjskim prawie bo-  
żem, uczeni, których społeczność stanowi najwyższą z czterech  
kast dziedzicznych, odrębnych, niedostępnych i nienaruszal-  
nych, odkąd religia Brahmy istnieje. Bramini, jakkolwiek  
nie są panującymi książętami, przecieź właściwie panują  
w Indyach, gdyż jako mędrcy i doradcy książąt i królów, i ka-  
plani stróże religii, a przytem lekarze, są szanowani przez  
wszystkich i w każdym zdarzeniu. Szedł tedy bramin, postać  
tajemnicza, nie często widzialna nawet w Benares, niby w do-  
mu swoim. Ludzie niezbyt licznie przechodzący o tej upal-  
nej porze dnia, skłaniali nisko głowy przyklekując przed wy-  
soką postacią, ubraną w charakterystyczne obszerne szaty,  
którą prawie odgadywać trzeba było pod niemi, zawsze i w ka-  
żdym razie świętą i nietykalną.

(d. c. n.)

## SZARADA.

ułożona przez Ewę Maryę.

Leć mój *drugi* i *trzeci* daleko! daleko!  
Zaszum w ciemnej dąbrowie, w zaroślach nad rzeką,  
Bieź po kłosach na niwie, po trawach na łące.  
Nieś po rosie odgłosy fujarek cichnące

I zawisnij, jak chwiejne znikłe w końcu echo,  
Nad kościołkiem, nad białym dworem, niską strzechą;  
Zabierz głosy, woń kwiecia, brzoź, lip, sosen w lesie,  
Pędź znów! niech je twe skrzydło szeroko rozniesie!  
Może ktoś je chwytając w locie *pierwsze, drugie*,  
Choć w krainach cieplejszych spędzał chwile długie,  
Że tam klimat łagodny, dla tęskniących przecie  
W rodzinnych stronach wszystko najmiłsze na świecie!...

## Gwiazdka geograficzna.

(od Wiosny dla Dobręj pani).

R

Ułożyć w kształcie gwiazdy 8 wyrazów 5-cio głoskowych,  
zaczynających się od litery R. Końcowe litery powinny utwo-  
rzyć nazwę W. księstwa na półwyspie Apenińskim. Znacze-  
nie wyrazów: 1. Miasto w Persyi. 2. Miasto pow. w gub. wo-  
łyńskiej. 3. Wyspa na morzu Śródziemnem należąca do  
Turcyi Azyat. 4. Miasto pow. w gub. Kurskiej. 5. Wyspa na  
morzu Bałtyckiem. 6. Rzeka we Francyi. 7. Rzeka w kraju  
Zakaukaskim. 8. Miasto w prow. hiszpańskiej Malaga.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go

Homonimu szarady:

J a n c z a r y .

Z a g a d k i :

R e g i n k a .

R e b u s u :

Tonący brzytwy się chwyta.

## SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przy-  
muje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemioł korzystnych  
dla kobiet. Lekcje malowania, rysunku i modelowania z gliny  
dają artyści: rzeźbiarz i malarz.

**TREŚĆ:** Kryształ gadowe (z drzew.). — Nauczycielka. — W polu, wiersz p. T. Praż. (z drzew.) — Wiek poetów, p. Z. Morawską.  
— Nasi goście p. T. P. — W Indyach — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Zawstydzona Zosia (z drzew.) — Ziunia, wierszyk  
p. Z. Morawską. — Lekarstwo. — Połów śledzi, p. H. Wernica. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek**  
**książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).





Zawstydzona Zosia.

## Zawstydzona Zosia.

— Ja nie chcę się uczyć, nie lubię się uczyć, wolę biegać — płakała leniwa Zosia nad książką. — Jakie szczęśliwe dzieci ze wsi, które nikt do nauki nie napędza; wolałabym tak jak one iść paść nawet gęsi, aniżeli siedzieć kilka godzin dziennie nad czytaniem.

Takie narzekania powtarzały się prawie codziennie, bo leniwa Zosia nie chciała tego zrozumieć, że nauka jest koniecznie potrzebna, praca obowiązkiem każdego człowieka, a próżniactwo początkiem wszystkiego złego.

W jej główce powstawały najrozmaitsze, najniedorzeczniejsze myśli, a wszystkie zmierzały do jednego tylko celu, to jest uwolnienia się od książki.

Napróżno anioł stróż napominał Zosię, aby się pilnie uczyła, nie martwiła mamy i taty; dziewczynka by-

ła głucha na głos swego dobrego opiekuna, i wołała słuchać podszeptów złego ducha, który ją do bardzo niedobrej namówił rzeczy.

— Pójdę daleko w świat i zgodzę się za gęsiarkę; będę sobie mogła przynajmniej cały dzień bujać po polach i łąkach, a nikt mi się uczyć nie każe.

Myśl ta bardzo się jej spodobała i dalejże ją wykonać!

Dziewczynka wzięła koszyczek, włożyła do niego cały swój majątek, to jest lalkę, oraz wszystkie jej sukienki, bo lalka była wielką strojnisią, i kilka groszy, które kiedyś dostała od mamy. Cichaczem wyszła z domu, niepostrzeżenie przeszła przez ogród i niebawem ujrzała się na polu, wśród traw i kwiatów. „Ach, jak tu pięknie, jak wesoło” zawołała dziewczynka, a oczy jej rozjaśniły się radośnie na samą myśl, że odtąd będzie mogła ciągle przebywać na świeżem powietrzu. Zosia



szła dalej i dalej, ale im więcej oddalała się od domu, tem ją większy niepokój ogarniał.

„Co to będzie, gdy nadejdzie noc”, pomyślała ze strachem, a ja będę sama w polu, może nawet w lesie; a nuż mnie zjedzą wilki, porwą cyganie, albo zabiją rozbójnicy i wezmą mi lalkę, pieniądze...” na to samo przypuszczenie włosy stawały jej na głowie. Zdawało się jej, że już uszła bardzo, bardzo daleko, gdy najniespodziewaniej w świetle ujrzała zdaleka na łące Marysię, gęsiarkę. Marysia siedziała na stronie i czytała z wielkiem zajęciem jakąś książkę, a gąski chodziły po łące, skubiąc trawę. Zosia nie chciała wierzyć oczom, bo nie mogła pojąć, z kąd się wzięła Marysia w tak dalekich stronach, a i gęsiarka niemniej była zdziwiona, ujrawszy panienkę samą jedną w polu.

— Cóż ty tu robisz, Marysiu? — zapytała dziewczynka.

— A cóżby, panienko, pasę pańskie gęsi jak zawdy.

— A czyjaż to łąka?

— Czyjażby jak nie dziedzica; pan dziedzic bardzo bogaty.

Zosia była już tak zmęczona, że się jej nie mogło pomieścić w głowie, iż dotąd nie wyszła jeszcze poza granice wioski rodziców, w każdym razie ucieszyła się bardzo, ujrawszy znajomą sobie twarz, bo już zaczynała na dobre tęsknić za domem.

Widząc, że gęsiarka nie ma wielkiej ochoty zapuszczać się z nią w rozmowę a tylko z ciekawością ciągle spogląda na książkę, zapytała:

— Cóż ty masz, Marysiu za książkę?

— Ach, panieneczko, taką śliczną książkę, tyle w niej pięknych rzeczy, jeno szkoda że nie wszystko rozumiem, bo jeno zimą chodzę do szkoły, to ta nie wiele co umiem.

— Czybyś ty chciała chodzić do szkoły? — zapytała zdziwiona do żywego leniwa Zosia.

— A jużci, panienko—zaśmiała się Marysia—przećież tam uczą takich ślicznych rzeczy, ale matuś powiedzieli, że trza latem gęsi pasać; niema czasu na szkołę.

Słowa gęsiarki wielkie wywarły na Zosi wrażenie. —Więc ta Marysia, wiejska dziewczyna żałuje, że do szkoły chodzić nie może, czyta z taką ochotą, a ja, uciekam od nauki — pomyślała. Ogarnął ją wielki wstyd i żal za swe lenistwo; szybko powróciła do domu, wzięła się natychmiast do książki, i jest odtąd bardzo pilną, pracowitą i sprawia tem wielką radość rodzicom.

## ZIUNIA.

— Idź, Ziuniu do ogrodu, ale nie jedz gruszek, Choćby spadły na ziemię; nie jedz i jabłuszek.

Rzekła mama do córki, a Ziunia przyrzekła,

Uściskała mateczkę i w ogród uciekła.

Siadła sobie pod drzewem, wtem gruszka upadła,

Ziunia ją zjadła.

Spadła druga i trzecia; a wkrótce na trawie

Z dojrzałego owocu żółciło się prawie.

Ziunia poczęła zbierać, gdy pełen fartuszek

Miała już gruszek:

— Schowam gruszki pod krzaczek, to zjem sobie potem,

Nie dowie się nikt o tem —

I to mówiąc, dziewczynka szybko dalej bieży,

Nie widząc, że kamień leży,

Zawadziła o niego, brzdęk, pada jak długa.

Chciała płakać, lecz tylko oczętami mruga,

A wciąż gruszki po trawie rozsypane zbiera

I czasem tylko nosek rozbity ociera.

Wtem pszczoła zabrzęczała, siadła na jej czole

I Ziunię żądłem ukole.

Ziunia w krzyk; matka zaraz na pomoc przybiegła,

Spojrzała i spostrzegła,

Że Ziunia nie posłuchała, tak więc do niej rzecze:

— Zawsze karę otrzyma, kiedy kto przyrzecze,

A słowa nie dotrzyma. — I żądło wyjęła.

A Ziunia tak do serca tę przygodę wzięła,

Że już nigdy bez wiedzy kochanej mateczki

Nie zjadła ani jabłka, ani też gruszczeni.

Z. Morawska.

## POŁÓW ŚLEDZI.

Śledź częściej niż inne ryby ukazuje się na naszych stołach; dla mniej zamożnych, szczególniej podczas postu stanowi on nieraz główną przyprawę posiłku. Jest to jedna z najtańszych ryb a do tego nie tak łatwo jak inne podlega zepsuciu.

W pobliżu nadbrzeży morskich północnej Europy wylawiają corocznie z głębi morza miliardy śledzi. Miliardy ich łowią ludzie, miliardy pochłaniają drapieżne morskie stworzenia, a pomimo tego ilość ich się nie zmniejsza. Nie wiemy z kąd przybywają i dokąd odchodzą, lecz zawsze z jedną, podziwienią godną punktualnością jawią się i znikają na morzach północnej Europy. Korzystając z tej punktualności rybacy norwegscy, mogą się należycie przygotować na ich przyjęcie.

Główny połów śledzi odbywa się w lutym. Już więc pod koniec stycznia rybacy otrzymawszy od kupców pewne zaliczenie i zaopatrzeni w niezbędne zapasy, udają się na niezaludnione wysepki otaczające Norwegię. Zamieszkują tam czasowo nędzne chaty, w których jak można najwygodniej się urządzają, oczekując przyływu śledzi. Nieraz dokucza im silny mróz połączony z przenikliwym wiatrem, ale wytrwały ten lud niewiele sobie robi z tej przykrości, przywykły do niej za młodu. Zarzucają sieci w najdogodniejszych miejscach, spoglądając na morze, czy nie ujrzą z dala dwóch błyszczących w powietrzu niewielkich strumieni wody. Rybak, który je dostrzeże, udziela z radością tę wiadomość towarzyszom. Niezawodny to znak obecności wieloryba, który oddychając nozdrzami, wyrzuca w górę dwa strumienie morskiej wody. Jest on zwiastunem zbliżenia się niezliczonych szeregów śledzi. Za jego ukazaniem się wszystkie osady mają się na baczności, wiedząc z doświadczenia, że niebawem na powierzchni morza śledzie pojawić się muszą. Nieraz wszakże przychodzi rybakom dłużej czekać na przybycie tych pożądaných gości; wówczas kilku najdzielniejszych ludzi puszcza się w łodzi na otwarte morze, a skoro ujrzy zdaleka właściwy srebrzy-



sty połysk na jego powierzchni, powraca na wysepki zawiadamiając drugich podniesieniem wioseł o zbliżaniu się śledzi.

Srebrzysty bowiem połysk na powierzchni morza pochodzi od niezliczonych grzbietów śledzi, które zwartym ciągną szeregiem. Znika teraz wieloryb, odpływa na otwarte morze i łączy się z towarzyszymi, aby wspólnie pędzić śledzie do brzegów Norwegii. Uciekając przed strasznymi nieprzyjaciółmi śledzie wpływają pomiędzy wysepki, nie wiedząc że wpadają z deszczu pod rynnę, to jest do zastawionych sieci. Podczas pomyślnego połowu śmiało rzec można, iż ile oczek w siatce tyle znajdzie się w niej śledzi. Niekiedy śledzie do cieśnin zbity wpływają ławą, sięgającą dna morskiego. Parcie jakie te miliony małych ryb wywierają, jest tak silne, że na kilka cali podnosi łodzie rybackie krążące w cieśninie.

Obładowani zdobyczą, rybacy płyną do najbliższego miasta Bergen w Norwegii, aby ją tam złożyć i czemprędzej powrócić na miejsce połowu. Jakiż tu ruch, jakie życie! W przystani setki ludzi ładuje śledzie na taczki i przewozi do miasta. Przybywszy na miejsce przeznaczenia, przewraca taczki i wysypuje na ziemię śledzie. Powstają ztąd wysokie jakoby góry śledziowe, pomiędzy którymi zdała widać tylko głowy robotników, zajętych ich wyprawianiem. W mgnieniu oka wyrzynają oni gardło śledziom i wyciągają wnętrzności, a tak sprawione wrzucają do obok stojących kadzi. Przez ręce jednego człowieka przejdzie codziennie kilka tysięcy śledzi. Inni robotnicy ładują napelnione kadzie na taczki i przewożą do miejsca w którym odbywa się soleńie. Śledzie wyjęte z kadzi wrzucają w beczki, polewają mocnym roztworem soli, poczem szczelnie je zamknąwszy, wnoszą do obszernych magazynów. Z samego miasta Bergen wywozi się corocznie przeszło 300,000 beczek śledzi, to jest więcej niż 3 miliardy sztuk.

Nieraz śledzie gnane przez wieloryby, zbliżają się do samych brzegów Norwegii, szukając schronienia w płytkich zatokach, których tu jest bardzo wiele. Rybacy wielkimi sieciami zamykają im odwrót i wylawiają wszystkie co do jednego. Jedna zatoka dostarcza ośm do dziesięciu tysięcy beczek, a dostarczyłaby znacznie więcej, gdyby skupione w małej przystani śledzie nie dusiły się wzajemnie.

Główny połów trwa od początku lutego do połowy marca, poczem śledzie znikają w głębi morza. Nie sądzićci wszakże, iżby w innych porach roku śledzie się nie ukazywały, owszem, przebywają one niemal w każdej porze, zarówno w lecie jak w jesieni, ale już w znacznie mniejszej ilości i gorszego gatunku; nie przynoszą więc takiej korzyści jak łowione na początku roku.

*Henryk Wernic.*

## LEKARSTWO.

— Ach, mój Boże! jakże mi przykro odjeżdżać biednego Stasia! Chłopczyna tak silnie kaszle... trzeba by mu regularnie dawać lekarstwo... a tego nieszczęsnego interesu nie mogę odłożyć do jutra...

Tak wyrzekła w obecności dziesięcioletniej córe-

czki Andzi, pani Z. która wdową będąc i sama się zajmując interesami, zmuszona była koniecznien wyjechać z domu przed obiadem i nad wieczorem dopiero wrócić mogła. Wprawdzie zostawiała przy dzieciach nauczycielkę, p. Zofię, ale ta dziś właśnie leżała z gwałtowną migreną, która jej się podnieść nie pozwalała. Jedyną więc opiekunką chorego Stasia mogła być dość od niego starsza Andzia, dziewczynka z najlepszym w świecie sercem, ale roztrzępana i zapominalska.

— Pójdę chyba do p. Zofii, powiem jej że muszę wyjechać i że niema komu dojrzeć Stasia. Choć sama chora, wiem, że zapomni o sobie i zajmie się dzieckiem. Przykro mi jednak, że nie mogę jej zostawić spokoju, którego tak potrzebuje...

— O mameczko, nie mów nic p. Zofii, czyż ja naprawdę tak jestem roztrzępaną, iż nie możesz mi zaufać? W południe i wieczorem łyżkę mikstury biednemu Stasiowi, co tak bardzo kaszle. Czyżbym naprawdę nie mogła spać tego?

— I owszem, chciałabym, byś mię wyręczyła niekiedy, lepiej jednak, by p. Zofia zechciała ci przypomnieć, w razie gdybyś...

— O mameczko! — z wyrzutem przerwała dziewczynka — niech mi tylko pani nie przypomina, moja droga, jedyna mamusiu.

Mama wyjechała. Andzia w południe, w czasie rekreacji przegrała partję krokieta. Wieczorem, odrobiwszy zadane na jutro lekcye, pracowała w ogródku. Usłyszawszy zajeżdżający przed ganek powóz, poskoczyła na przywitanie mamy.

— Jak się masz, córeczko, jak się masz! A Staszek?

Andzia, jak piorunem rażona, zatrzymała się na wschodach i zarumieniona, całując matkę w rękę, nic nie odrzekła.

Biedne maleństwo leżało cichutko w łóżeczku niebieską kołderką po buzię nakryte i spoglądało żałośnie na schyloną nad nim mameczkę.

— Mamusia wio... koniki wio... powóz wio... pojechali... a Taś kaszlał, bardzo kaszlał... — gwarzył ochryplym głosem pieszczoszek.

A czy był grzeczny syneczek? wypił lekarstwo?

— Taś grzeczny, nie pił lekarstwa, jadł losół, bulkę...

— Moznaby mu dać trzecią łyżkę na noc. Andziu, przynieś fiaskę.

Zwolna ruszyła się z kąta pokoju, gdzie była stanęła, skubiąc bez litości fartuszek.

— Flaszeczka pełna... — rzekła mama, spoglądając z wyrzutem na roztrzępaną córeczkę.

— Biedny Taś, biedny, kaszelek go dusi... — powtarzał jak srocza chłopczyna ze smutną minką.

Zawstydzona Andzia stała z pełnemi łez oczyma.

Przez parę dni Staszek kaszlał okropnie. Andzia ni chwili spokojnej nie miała, tak ją dręczyła myśl, że przyczyniła się do zwiększenia choroby braciszka. Całe dni spędzała przy nim, zabawiając go, gdyż biedne dziecko tak było męczone kaszlem, iż nieraz płakało a i Zosia wtedy częściej używała chusteczki.



**Homonim szaradowy.**

ułożyła M. P.

Pierwsze jest spójnik, drugie: niedostatek.

Wszystko z pokorą uprasza o datek.

## ŁAMIGŁÓWKA.

Z liter składających wyraz **Stolik** ułożyć następujące wyrazy: 1. Nazwę domowego zwierzęcia. 2. Ładnie śpiewającego ptaka. 3. Płynu z owoców. 4. Liczby. 5. Masy używanej przez szklarzy. 6. Ruchu ptaka. 7. Pisma.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

**Zagadki homonimu:**

P a j ą k.

**Łamigłówni liczbowej:**

Gaj — — bal — balja — barjera.

Gabrjela.

## Skrzynka do listów.

Dobrze robisz, **Trawko z nad Tryby**, że od razu, jak do siostry do mnie przemawiasz i serdecznie dziękuję ci za to. Konkurs terazniejszy nie do mnie należał! Liścik biorę pod opiekę.

**Białonóżko z pod Karpat**, nim moją odpowiedź otrzymasz, już **Wieczory** twoją ciekawość zaspokoją.

**Gospośię z Podola** witam serdecznie. Bardzo lubię takie młodzieńskie siostrzyczki, bo takimi dłużej się cieszyć będę.

**Droga Biała Ostróżko**, w tem co piszesz, takie się pocziwie serduszko maluje, że pokochałabym cię za list twój ostatni nawet, gdybym cię już nie kochała pierwój. Nie potrafię ci wytłómaczyć, co znaczy ów pseudonym, musi on być skróceniem jakimś, lub zestawieniem początkowych głosek. Staszkę z Podola żegnano i błogosławiono, bo idzie za mąż i w bardzo serdecznych wyrazach doniosła o tem Redakcyi.

**Gamie C dur**, serdecznie dziękuję za przysłane mi zajmujące szczegóły. W imię mi nie-Zofia i sen twój się nie sprawdził, kochana ty moja ciekawska.

Na zawsze **Kwiecie Lotusu**, pozostanę tajemnicą, okryta. Na pytanie twoje co do Jul. Ol. trudno ci odpowiedzieć, bo jeszcze nie wszystkie panienki dołączyły do pseudonimu nazwiska, o co je od paru miesięcy ciągle prosimy. Zagadki odebrałam, ale ty wiesz, co to *kolej*! Nacierpiałam ja się przez nią niemało, ale ostatecznie doszedłszy do rozumu, pojmuję, że ją szanować trzeba, bo inaczej panował by nieład nieopisany. Mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy przysłania fotografii? O ile pamiętam, M. K. nie pisuje do **Wieczorów**; dopiero po powrocie do Warszawy mogłabym ci stanowczo na to odpowiedzieć.

Nie, **Podolanko** droga, żadna ofiara nie jest „mała” gdy z serca pochodzi, a wiadoma to rzecz, że „ziarnko do ziarnka”...

Parę słów tylko, na samem wyjeździe, piszę do ciebie **Niezapominajko z nad Warty**. Może zanim je wydrukują, czytać będziesz list, który pozwoliła mi Redakcyja napisać do was z podróży.

W ten tylko sposób będę mogła znosić się z wami, bo z powodu wyjazdu przerwać się musi cotygodniowa nasza korespondencya. Nie zapomniście jednak o mnie, jak i o was nie zapomni także sercem wam oddana

Gołąbka.

**Droga Kapłanko Znicza**. Przyczyną mego długiego milczenia jest to, że list mój gdzieś zginął. Miła **Stokroteczko** z nad **Stochodu**, jak się ma twoja mama? Czy już zdrowa? pokochałam cię bardzo, radabym cię poznać. **Topolko srebrna**, list twój ucieszył mię bardzo. **Sosenko** droga, mylisz się nie jesteśmy **Jadzią** i **Marylką D.** tylko **Cesią** i **Martą M.** **Srebrna lilijko**, twój pseudonym zachwycił mnie, czy dawno czytasz **Wieczory**? bo my już od 5 lat i zamyślamy nigdy z niemi się nierozstawać. Donieś mi co o sobie. Nie jestem taką doskonałością jak myślisz. Ścisłam was po miljon razy drogie siostrzyczki. **Sarence** z nad **Moroczu** i **Chmurce** złościstęj posyłam serdeczne uściśnienie. Wasza **Westalka**.

Kochane moje: **Czeska Niezabudko**, **Topolko srebrna**, i **Niezapominajko z Zacisza**. Pisałam do ciebie niedawno **Czeska Niezabudko**, ale list ten gdzieś zaginął. Ucieszyła mię twoja odezwa kochana moja **Topolko srebrna**. Wiesz już zapewne z mego listu do **Chmurki Złościstęj** kiedy się zobaczymy. „**Strzala**” już nie wychodzi. Uściskaj odemnie siostry. Prosiłaś, kochana **Niezapominajko z Zacisza**, żeby która z nas do ciebie napisała, możebyś więc chciała ze mną korespondować? Donieś proszę cię jak się nazywasz? ile masz lat? i gdzie mieszkasz? Ścisła was serdecznie *Jaśkółka z nad Ussy*.

Moje drogie: **Biała Perełko** i błękitna **Kokardko**. Poznajecie mię zapewne po moim pseudonymie. Odpiszcie mi czempredzję! Kiedy wyjedziesz uczyć się we **Lwowie**, miluczna **Rybko** z **Hniłopiaty**? Może się tam kiedy spotkamy. Tymczasem zgadnij kim jestem? Całuję cię i proszę o odpowiedź. Zwinnej **Wiewióreczce** donoszę, że jestem jej imienniczką i rówieśnicą. Gdzie mieszkasz? Kochana **Jadwisiu K.** w **Mohylowie**! Czemu nie piszesz do „**Wieczorów**”? Wiem że je lubisz czytać, i ślicznie się uczysz i jesteś jedynaczką; jak ci idzie muzyka? Całuję was wszystkie serdecznie *Główna cukrowa*.

Kochane korespondentki „**Wieczorów**”. Zmieniłam pseudonym **Pieszczotki** na **Wesołą Pieszczotkę** dowiedziawszy się z korespondencyi, że jest jeszcze i druga **Pieszczotka**. Całuję was serdecznie i proszę o listy, Wasza *Wesoła Pieszczotka*.

Drogi współczelniczki **Wieczorów**! Nie wątpię że po przeczytaniu listu naszój kochanej **Gołąbki**, serduszka wasze przejęło współczucie dla słabowitych biednych dzieci, wzdychających w wilgotnych, dusznych izdebkach do wyjazdu. Co też ich biedne matki muszą cierpieć, nie mogąc ich ratować, a widząc, że choroba w tych warunkach bywa częstokroć przyczyną śmierci! Ale nie dosyć jest współczuć, tu trzeba także działać, ażeby im dopomódz; drogie siostrzyczki, dajcie dowód, że pragniecie tego i niech każda z nas pospieszy choć z najmniejszym datkiem, z tych małych datków całość pożądana się złoży i cieszyć się będziemy, że potrafiłiśmy drugich uszczęśliwić. Redakcyja podwójnie będzie ze swojej „rodzinki” zadowolniona. Pragnąca tego, bardzo was kochająca *Cicha woda*.

Przepraszam cię serdecznie, kochana **Mała Laszko**, że już tak dawno nie pisała do ciebie. Gdzie jedziesz na wakacje? My do **Żegestowa**. Donieś mi jak wyglądasz? Ja jestem blondynką, dość jak na wiek mój niską, mam oczy siwe. Napisz jak się nazywasz gdzie mieszkasz i ile masz rodzeństwa? Który z przedmiotów najbardziej lubisz? bo ja rachunki. Odpowiedz prędko kochającą cię przyjaciółce. *Kołowrotek*.

## NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Bezimiennie od dwóch prenumeratorek rs. 2. **Goryczka** rs. 1. **Szary wróbel** rs. 1. **Konik z nad morza Czarnego** rs. 1. **Kotek z Podola** rs. 1. **Kropelka rosy** rs. 1. **Podolanka** rs. 1. **Dzieci z Helenówka** rs. 1 kop. 25. **Kuropatewka z nad Warty** rs. 1.

**SPROSTOWANIE.** N.30 Skrzynka do listów. List pierwszy. Powinno być: **Królowo Wrózek** nie **Wróżbiarce** szczęścia.